

Mój dziennik politycznie niepoprawny

ANDRZEJ WIERZBICKI

22 lutego 2012

Zaciekało mnie telewizyjne wspomnienie o Leopoldzie Tyrmandzie, postaci ożywiającej naraz kilka nurtów życia intelektualnego w powojennej Polsce. Egocentryczny, niepokorny, zwaśniony z władzą, uosabiały trwały typ intelektualnego oporu wobec panującego systemu, którego, wpędzając się w stan buntu o konsystencji wrzenia, totalnie nie akceptował. Giedroyc wspomina o nim niezbyt rozlegle w swej „Autobiografii na Cztery Ręce”: Tyrmand, po wyjeździe z Polski, nie zabawił długo w podparyskiej siedzibie „Kultury”, gdzie zdeponował rękopis „Dziennika 1954”. Książka jest jedyną tego autora przeczytaną przeze mnie w całości – niektóre fragmenty kilkukrotnie.

Nie mam zasadniczo cierpliwości do beletrystyki, co nie znaczy, że jej unikam. Zaledwie pobieżnie pochylałem się przed laty nad „Złym”, który w swoim czasie został uznany za wydarzenie literackie. Książkę wypadało przeczytać, zwłaszcza że wyszła spod ręki niestrudzonego kontestatora powojennych porządków. Pierwsze wydanie rozeszło się jak przysłowiowe ciepłe bułeczki; było tryumfem osobistym pisarza. Do dzisiaj uchodzi za koronę, obok „Dziennika 1954”, dzieło tego literata. Chociaż spod pióra Tyrmanda wyszło wiele innych pozycji, czytelniczą popularnością nie zdystansowały „Złego”.

„Dziennik 1954” został zaliczony do kanonu polskiej literatury. Jest pełnym pasji kronikarskim zapisem i opisem społecznych i politycznych realiów oraz postaw kręgów intelektualnych i twórczych Warszawy czasu apogeum polskiej wersji stalinizmu. Tyrmand świat ten znał znakomicie. Przez lata pozostawał jego świadkiem i bywalcem. Portretował ze zjadliwym krytycyzmem. Książka jest lekturą pasjonującą. Mimo iż dotyczy spraw w czasie odległych, wciąga i fascynuje, również za przyczyną znakomitego języka, którym autor posługiwał się z godną pozazdrośczenia lekkością. „Dziennik” nie jest – nie tylko moim zdaniem – pozbawiony słabości wpływających zapewne z osobistego, niełatwego w kontaktach z ludźmi charakteru pisarza. Odczytuję go również jako owoc nadwrażliwego egocentryzmu Tyrmanda. Emanuje przerysowaną, moim zdaniem, ostrością. Wydaje się, że należy odczytać dzieło jako intelektualną erupcję buntu, zwyczajnej złości wobec sposobu, w jaki traktuje go władza w odpowie-



dzi na otwarcie manifestowaną niezależność. Oryginalny styl bycia twórcy „Dziennika 1954” stanowił wartość samą w sobie: irytujący i podziwiany zarazem. Był niewątpliwie kłopotliwy dla rządzących. Opis świata wpisany w stronicie „Dziennika” jest w wątku ludzkim nazbyt przejawskawiony – dychotomiczny. Zapewne innym być nie mógł, gdyż, jak sądzę, ta właśnie cecha przesądza o wartości książki – decyduje zapewne o czytelniczej atrakcyjności. Jakkolwiek nie budzi zawodu, studzi w pewnym stopniu me czytelnicze rozpaleń oraz wiarę, iż oddaje prawdę i tylko prawdę. Z wyjątkami, nie w pełni ufam bytom czarno-białym, w czym Tyrmand najwyraźniej czuł się jak ryba w wodzie.

Tyrmandowe portrety współczesnych mu luminarzy kultury i polityki są w większości przejawskawione: przesadnie zogniskowane na negatywach, tyle zasadnych, co po wielokroć wyolbrzymionych, lub wprost nie trafionych. Autor najwyraźniej nie posiadał zdolności zauważania pośrednich odcieni ludzkiej galerii, którą gniewnie portretował – w pisaniu Tyrmanda nie ma miejsca na kompromis polityczny i intelektualny. Zdaje się twierdzić i dowodzić, że otaczają go – z niewielkimi wyjątkami – wyłącznie koniunkturalni tchórze i twórcy oportunistów. Jakkolwiek niektórzy na taki opis zasłużyli, ten pozostaje po wielokroć demonizowanym. Na tak szkicowanym tle ludzkiej marności, pisarz – siłą rzeczy – kreuje się na herosa intelektu i tytana moralności zbrzydzonego światem, który go otacza. Nie szczędi nikogo i niczego – nie przeczę, że niejednokrotnie zasadnie – z wyłączeniem paru osób, w tym w szczególności Kisielewskiego, z którym był w bliskiej przyjaźni i którego ogromnie cenił jako człowieka,

dziennikarza i literata. Tak ostry opis sporego kręgu znanych Tyrmandowi ludzi, jakkolwiek na swój sposób pasjonujący, odchyła się często od realności; wydaje się, że nie o obiektywizm tu chodziło. Swoją drogą trudno uwierzyć, aby owa ludzka galeria nosiła w sobie wyłącznie zło, samo zło i tylko zło. Ja w każdym razie w coś takiego nie wierzę. I nie jest to tylko kwestia wiary. Nie akceptujący półcieni radykalizm Tyrmanda stworzył, w symbiozie ze znakomitym piórem, dzieło niewątpliwie ciekawe i ważne, wciągające w czytaniu.

Pomimo uwag, nie sposób odmówić pisarzowi trafności w diagnozowaniu epoki – tego jej skrawka, który wpisuje się 1954 rok. W ocenie systemu, wieszcząc jego wypalenie się – przyszyły upadek – był na swój sposób proroczy.

Warto odnotować, że był Tyrmand żywym przykładem wojennego antybohatera: nigdy i nigdzie nie walczył, nie uczestniczył też w wojennej konspiracji. Całą wojnę przeczekał względnie spokojnie poza krajem. Na tle obowiązujących wzorców wojennego patriotyzmu chciałoby się rzec, że spokojnie „przepekał” te koszarne lata. Do Polski powrócił w 1946 roku. Jest swoistą ciekawostką, że w ponurej epoce stalinizmu po polsku, zasadnicza dotkliwością, którą boleśnie odczuwał, były kolejne odmowy wydania mu paszportu – otrzymanie owego dokumentu było w tamtym czasie dla większości niemożliwym. Znał osobiście niezliczoną liczbę ludzi: sławnych, ważnych i znaczących, oraz tych bez znaczenia. Grono to często mu pomagało i wyciągało z kłopotów. Prowokował i drażnił. Był głośny i donośny. Swych poglądów publicznie nie skrywał, za co, o dziwo, nigdy nie trafił za stalinowskie kratki, co zdarzało

się podobnym mu buntownikom. Trudno w związku z tym uznać Tyrmanda za kombatanta walki z „komuną” w klasycznym rozumieniu tego słowa. Zasadnym jest zauważyć, że wojenne i powojenne losy pisarza nie zostały naznaczone jakąś szczególną postacią osobistej „martyrologii”, jakże dziś modnej i pożądanej przez co niektórych. Właściwość ta kreuje swoisty dysonans pomiędzy tym, jak żył, tym, co zawarł w „Dzienniku”, a realnie zaznanymi ze strony władzy dolegliwościami osobistymi. Z pasją walczył o lepszą pozycję towarzyską i materialną, na którą, o czym był głęboko przekonany, zasłużył sobie pisarskim talentem. To co materialnie osiągał nie zadawało pisarza, za co winił marność wpływającą z panującego systemu politycznego.

Kupiłem swego czasu oryginalną, wydaną w 1995 roku wersję „Dziennika 1954” ze znakomitym wstępem zredagowanym przez nieżyjącego już Henryka Dasko – niegdyś czytywałem w „Polityce” artykuły poświęcone literaturze anglojęzycznej, której był znawcą i krytykiem. Był Dasko, zapewne na swój sposób dowcipnym, lub śmiertelnie poważnym. Cytuję kawałek wstępu do „Dziennika” pióra pana Henryka: „Tyrmand przeciwstawił samego siebie – europejskiego epikurejczyka – sprawnie posługującego się sztuczkami i zadumanego nad eschatologicznymi meandrami mounierowskiego personalizmu. ...dychotomia Tyrmand – komunista.” Po przeczytaniu tego kawałka pomyślałem sobie, że Dasko robi sobie jaja z „prostego” czytelnika.

„Dziennik 1954” jawi się w swym rozwarstwowym napięciu intelektualnym i moralnym jako wyłącznie dwubiegunowy: dobro i zło, a ściślej – powtórzę – czern i biel bez najmniejszej próby zrozumienia i pobłażania temu, co poza nim: jakby ten inny świat był totalnym złem. Właściwość ta w jakiś sposób upodabnia „Dziennik” do „Zniewolonego umysłu”, paraboli literackiej (przypowieści) pióra Czesława Miłosza. Cenię obie, jednak w swej bezbrzeżnej megalomani osmielałem się mieć uwagi: otóż „winię” obie wybitności o ocierającą się o łatwiznę łatwiną radykalizm, ustawiający piszących w pomnikowej roli nieomylnych, przy tym nieprzejeżdżanych, jedynie słusznych arbitrów. Nie bez trudu akceptuję ten typ twórczego egocentryzmu oraz intelektualnej wyniosłości obojga. Nie odmawiam nikomu, kto pisze, świętego prawa do twórczej do-

wolności. Wiele dzieł światowej beletrystyki bazują na kontrpunkcie. Waham się jednak, czy obie książki nie noszą znamion pychy autorów. Odrzucam mogący się po ich przeczytaniu objawić pogląd, że każda inne zachowanie i postawy, odchylające się choćby o milimetr od wzorców, które kreślą, są a priori złe – nie do zaakceptowania na płaszczyźnie intelektualnej i moralnej. Mam taką naturę, przy tym pole, jak mi się wydaje, zdrowej tolerancji, że nie w pełni ufam tej kategorii nieomylności. Z trudem – z wyjątkami – przyswajam sobie dzieła o cechach przesadnie, wedle mnie, moralizujących. Te nierzadko wydają mi się być nadto nachalnymi. Jeśli sytuacje i osoby w nich opisane nie są w sposób oczywisty złe – o czym wiem, lub przypuszczam, że takimi są – zachowuję ostrożność. Z punktu widzenia dzisiejszego czytelnika nie uważam, aby rozważania i wnioski zawarte w obu książkach należały do bezdyskusyjnie słusznych. Stronię autorzy – świadomie – od pogłębionej refleksji, wszak nie o nią im w tamtym czasie chodziło. Oddalają od siebie zamysł nad uwikłaniem człowieka w historię, a także to, że nie zawsze jesteśmy podmiotem własnego losu. Ja uważam, że nikt nie rodzi się i umiera jako kryształ. Rzecz jasna granice tego rodzaju wyrozumiałości nie mogą być bezbrzeżne. Nie wolno nam jednak totalnie wykasować tolerancji w odniesieniu do inkryminowanych postaw i zachowań, uwzględniającej rozmaite okoliczności: historyczne np., także te zwyczajnie ludzkie, które determinują czyny „osądzanych”.

Tyrmand pisał swój „Dziennik 1954” do szuflady, Miłosz „Captive Mind” napisał poza Polską – właściwie na zamówienie „Kultury”, krótko po tym, kiedy wzmagając się z rozterkami, zdecydował pozostać na Zachodzie. Jerzy Giedroyc uznał książkę Miłosza za ważną, jednak, np. przeciwnie do Herlinga Grudzińskiego, który podkreślał, że ta przede wszystkim kreuje i ożywia negatywny mit „ketmana” (patrz: „Nienasycenie” Witkacego) twierdził, iż gromiona przez autora postawa czwórki jej głównych postaci – antybohaterów: Alfa, Beta, Gamma i Delta to przede wszystkim owoc strachu i oportunistyzmu (patrz: „Autobiografia na cztery ręce”), przez co, jak mi się wydaje, spłycał przesłanie i symbolikę dzieła. Ta z punktu widzenia zaangażowanego czytelnika – tego na emigracji i w kraju – wydawała się być znaczącą. Zwłaszcza wtedy.●